

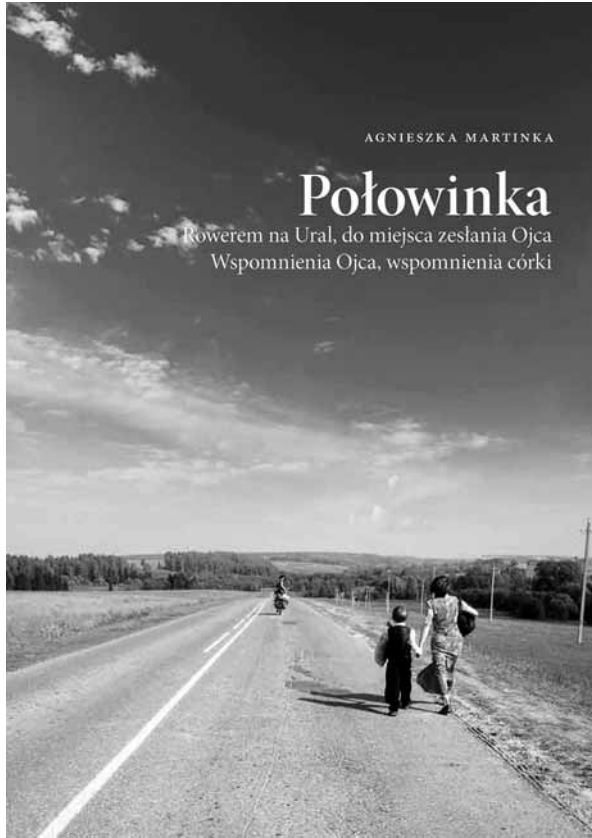
**Janusz M. Paluch.**

### **Wot romantyczka!...**

*Połowinka* nie jest zwykłą książką. Autorka pisała ją emocjami przeplatającymi się z uczuciami do ojca. Jeśli spodziewacie się, że będzie to tylko relacja z nieziemskiej eskapady rowerami na Ural, to się mylicie. Książka Agnieszki Martinki jest wielką lekcją patriotyzmu i historii Polaków, tak boleśnie doświadczonych przez II wojnę światową i jej skutki. Ta książka to hołd złożony ojcu autorki, Zdzisławowi Martince (1927-2007), znanemu lekarzowi z Tomaszowa Lubelskiego, który jako 12-letni chłopak rozpoczął jesienią 1939 r. swą wielką wyprawę, z mapą wyrwaną z atlasu geograficznego. Uciekł z domu i kierował się do Francji, bo chciał dostać się do armii polskiej gen. Władysława Sikorskiego. Wtedy trafił do sowieckiego więzienia w Samborze, a po wojnie, jako partyzant AK, wywieziony został na Ural, do Połowinki, kopalni węgla kamiennego nr 4. Agnieszka pojechała na rowerze jego śladami. Zdążyła pokazać ojcu fotografie z wyprawy, opowiedzieć mu przygody... Nie zdążyła napisać z nim – wspólnie – książki, a taki był plan. Czy rzeczywiście ten plan się nie powiódł? Przekonacie się sami, sięgając po książkę, do czego gorąco zachęcam.

Relacja Agnieszki Martinki zawarta na stronach książki *Połowinka*, jest wielowymiarowa. Współczesna opowieść o wyprawie na Ural, okraszona jest retrospektywnymi opowieściami z jednej strony autorki, z drugiej zaś oddaje głos swemu nieżyjącemu już od kilku lat ojcu. Opowiada autorka o kilkunastoletnim harcerzu druhu Zdzisiu, który nie zdając sobie sprawy z realiów politycznych i rygorów wojennych, w jakich znalazła się Polska, postanawia śladami swego starszego są-

siada, przedrzeć się przez zieloną granicę na Węgry, gdzie – jak słyszał – rekrutowali do wojska polskiego we Francji. Młodemu chłopakowi udało się przepłynąć w pław przez San, odejść nawet od biegnącej na linii Sanu granicy między Generalnym Gubernatorstwem a Związkiem Radzieckim, ale zatrzymany został przez pograniczników sowieckich i trafił, najpierw do aresztu w Lesku, a potem do więzienia w Samborze jako *szpion*. Zdradziło go przemoczone ubranie, które starał się trzymać bezskutecznie ponad głową, pokonując rwący nurt Sanu. To, że po kilku tygodniach został wypuszczony z więzienia zawdzięczał chyba tylko swemu wiekowi. Miał też szczęście, że we Lwowie, do którego udał się wprost z Sambora, mieszkało jego wujostwo, u których znalazł schronienie. Po jakimś czasie podjął naukę w Żółkwi, a kiedy Niemcy rozpoczęli wojnę ze Związkiem Radzieckim, niemal równocześnie z hitlerowskimi okupantami znalazł się we Lwowie i stał się przypadkowym świadkiem opróżniania z ciał pomordowanych przez Rosjan więźniów w słynnych Brygidkach. Także tą drogę nieugiętego harcerza przemierzyła autorka, oczywiście na rowerze w 2013 r., już po podróży do uralskiej Połowinki. Z drugiej strony oddała głos swemu ojcu, i to na trzech płaszczyznach. Kilka dni po jego śmierci, znalazła plik zapisanych kartek, na których dokonał – kto wie, czy nie z myślą o wspólnej z córką książce – swoistego rachunku sumienia w roku swych osiemdziesiątych urodzin. Drugim nurtem, jakże oryginalnych wypowiedzi Zdzisława Martinki, jest nagrana z nim rozmowa przez red. Wojciecha Dziedzica. Jest to żywy dokument, który nie został poddany obróbce redaktorskiej. Rozmowa poświęcona jest życiu Zdzisława Martinki, począwszy od momentu wybuchu II wojny światowej, aż po czasy współczesne. I w końcu trzeci nurt, to publikacje z miejscowego periodyku „ReWizje Tomaszowskie” ukazującym się w Tomaszowie Lubelskim – rodzinnym mieście pana Martinki. Autorka przytacza tam teksty z cyklu *Ja, deportowany*, które ukazywały się w latach 1997-1998. Nad tymi nurtami retrospektywnych opowieści nadrzędną jest relacja z podróży rowerami, która zaczęła się w Lublinie i przez Białystok, Wilno, Moskwę do Jekaterynburga – trwała półtora miesiąca! Od sierpnia do września 2006 r. Agnieszka Martinka ze znaną sobie swadą i emocjonalnością opowiada nam o przygodach, ludziach, pogodnych i deszczowych dniach, towarzyszących im przez prawie 5000 km! Czytając, czuję jakby ta opowieść była prze-



znaczona tylko dla mnie. Jak ona to robi, że czuję smak i zapach pitej kawy, odczuwam duszność, gorąco i strach zaparowanej bani... Moknę w deszczu, odczuwając zimno i wilgoć, czy słyszę niepokojący dźwięk wydawany przez atakujące podróżników szerszenie... Kiedy już zamknąłem ostatnią stronę książki, czując radość, że w końcu ta trudna wyprawa się skończyła sukcesem (gdyby było inaczej, raczej nie czytaliśmy tej książki...), łapię się za głowę... Przecież autorka nie opowiada tego nam – czytelnikom. Ona relacjonuje swą podróż ojcu, a my tylko podsłuchujemy... Na szczęście z przyzwoleniem Agnieszki!

Książka, której przecież nie mogę streszczać, adresowana jest do bardzo szerokiej rzeszy czytelników. Oczywiście sięgną po nią w pierwszej kolejności miłośnicy dwóch kółek, którzy wędrują po Polsce i świecie na swych rowerach. Ilu jednak byłoby w stanie zdobyć się na tak szaloną wyprawę?! Pikanterii dodaje fakt, iż z terenu Rosji umykali w ostatnich godzinach ważności wizy, a dodatkowo *de facto* nielegalnie, bo bez

wizy, znaleźli się na terenie Białorusi, którą z niemalymi perturbacjami opuszczali w Brześciu. W drugiej kolejności czytać ją będą miłośnicy historii współczesnej. Wszak jest tam zapis poświęcony niezwykle dzielnemu bohaterowi, który nie tylko może być, ale jest wzorcem dla każdego młodego człowieka. Na stronach *Połowinki* autorka ukazuje, jak kilkunastoletni chłopak kształtował się i dorósł w przyspieszonym tempie, jak kształtowała się jego odpowiedzialność za siebie i rodzinę (do Żółkwi wyjechał dobrowolnie nie tylko do szkoły, ale by nie być ciężarem dla wujostwa), by świadomie wybierać swoje miejsce w najtrudniejszych chwilach dla Ojczyzny (był w końcu czynnym żołnierzem AK, za co trafił do więzienia i na zesłanie). W końcu to ten hart ducha, ta wiara w siebie i konsekwencja doprowadziła go do tego, że potrafił mimo przebytych więzień polskich i katorgi na Uralu, zostać lekarzem, by ratować życie innym ludziom, nie plamiąc się jakkolwiek unizonością wobec powojennej rzeczywistości w PRL.

Nie można pominąć albumu fotografii, jakże licznych i interesujących, pomieszczonych przez autorkę w książce. Dokumentują wyprawę na Ural, także tę bieszczadzko-lwowską, a także ukazują archiwalne zdjęcia i dokumenty rodziny Martinków.

To dziwne, ale książkę czyta się z duszą na ramieniu! Na rowerach na Ural!... Przecież to niemożliwe... Uda im się, czy nie uda? Czytając nie czuje się dystansu czasu. Kiedy w Jekaterynburgu dopadają w ostatniej chwili, prawie ruszający pociąg na Zachód, czytelnikowi kamień spada z serca. Choć jeszcze wyskakują podczas dłuższego postoju spojrzeć na Mińsk w towarzystwie znajomego rowerzysty dziennikarza, i *pojezd* może ich zostawić, a potem perturbacje na granicy w Brześciu... I w końcu udało się! Ale to jest typowe dla Agnieszki Martinki. Kto czytał jej debiutancką książkę „Szybsza niż lew”, opowieść o afrykańskiej podróży rowerem wokół Jeziora Wiktorii, ten wie, że Agnieszka nie da, nie tylko sobie, odpocząć, ale i czytelnika do ostatniej intelektualnej pestki wyssie, wykorzysta...

**Janusz M. Paluch**

Agnieszka Martinka, *Połowinka. Rowerem na Ural do miejsca zesłania Ojca. Wspomnienia Ojca, wspomnienia córki*, Wydawca: Agnieszka Martinka, Lublin 2016, s. 368